

BOHDAN

PETECKI

Bań na Pięciu Księżycach



Bohdan Petecki

BAL NA PIĘCIU KSIĘŻYCACH

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-84-3

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Nasza Księgarnia, Warszawa 1988

seria „Klub Siedmiu Przygód”

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Spis treści

Piętnaście świeczek i pięć księżyców

Wszystko za naciśnięciem guziczka

Przerwany bal

Nieszczęsny wnuk szczęsnika

Nie strzelać

Z gwiazd do podziemi

Truszkule, co robisz na niebie?

Człowieku, proszę o wezwanie

Drugi pierwszy bal na Pięciu Księżycach

Piętnaście świeczek i pięć księżyców

Przyszedł wreszcie ten Dzień Szczęśliwy, na który czekaliśmy wraz z Irkiem, by rozpocząć naszą opowieść.

W każdym razie miał to być Dzień Szczęśliwy i nie tylko jego przyszły bohater, lecz także wszyscy mieszkańcy ukrytego w zieleni domku przy ulicy Delfinów w marsjańskim mieście Coprates już od tygodnia niecierpliwie spoglądali na kalendarz.

– To niesprawiedliwe, żeby ktoś kończył piętnaście lat akurat w ostatnim dniu roku szkolnego i w dodatku zaraz potem miał jechać na takie wakacje – zbuntował się kiedyś Danek.

Sądy, jakie wygłaszał dziesięcioletni Danek, nie mogły być jednak traktowane serio przez jego poważnego, starszego brata. Toteż Irek przybrał tylko znudzony wyraz twarzy i bąknął tonem człowieka, który przypominał sobie właśnie o jakiejś nic nie znaczącej błahostce:

– Urodziny?... Ach tak, prawda. Istotnie, tego dnia kończą się lekcje...

W odpowiedzi Inia wzruszyła ramionami, mama zaśmiała się cicho, a ojciec pokiwał głową i rzekł z zazdrośnym uznaniem:

– Irek nie myśli o sobie. To bardzo ładnie. Obawiam się, że ja nie dorównuję mu szlachetnością charakteru. Muszę wam wyznać, że nie mogę się już doczekać tego dnia. Przecież zaczynam wtedy urlop.

Irek spojrzał z wyrzutem na rodziców, łypnął złowrogo w stronę Ini i Danka, ale nic nie powiedział. Bo czyż są słowa, którymi można skwitować podobną przewrotność, bez uszczerbku dla godności własnej?

No i dziś nadszedł wreszcie ów dzień. Przeszedł on do kroniki rodzinnej państwa Skibów jako wielki, choć może nie aż tak szczęśliwy, jak się tego po nim spodziewano. W każdym razie jednak dał początek przedziwnym i zupełnie niesłychanym wydarzeniom.

Ranek nie zapowiadał żadnych nadzwyczajności. W czasie śniadania wszyscy byli jakby trochę roztargnieni i małomówni, ale poza tym zachowywali się całkiem normalnie. Mama jak zwykle punktualnie za pięć ósma odjechała do Marsjańskiego Instytutu Galaktycznego kierowanego przez grono siwowłosych uczonych, którzy wysoko cenili zdolności i pracowitość swojej młodej koleżanki, astrofizyka Olgi Skiby. Ojciec mruknął, że musi jeszcze przed urlopem zakończyć jakieś obliczenia, i także zniknął w małym laboratorium przylegającym do domu. Doktor Jacek Skiba mieszkał wprawdzie w Coprates, ale pracował w znajdującym się na Ziemi Centralnym Ośrodku Badań Dalekiego Kosmosu; ze swoim zespołem kontaktował się za pośrednictwem specjalnej sieci komputerowej. Ojciec Irka był znanym konstruktorem sond i statków zwiadowczych dalekiego zasięgu, z których najnowsze przekraczały już próg Galaktyki. Faktem jest wszakże, że więcej sławy niż jego rakiety przyniosły mu wyczyny sportowe. Doktor Skiba zdobył wiele dziewiczych szczytów na Księżycu, Marsie i satelitach wielkich planet, a sześć niewiarygodnie trudnych i pięknych zarazem dróg wspinaczkowych miało już na stałe nosić jego imię. Irka częściej pytano: „Czy jesteś może synem tego słynnego alpinisty?” aniżeli: „Czy to twój ojciec zaprojektował ostatnią sondę transgalaktyczną?” – o co zresztą ani chłopiec, ani konstruktor nie mieli do nikogo pretensji.

No, tak. Teraz jednak ojciec poszedł nie w góry, a właśnie do swojej pracowni. Dwudziestoletnia Inia, najstarsza latorośl państwa Skibów, udała się jak codziennie do Aurotronu miasta Coprates, gdzie odbywała staż po ukończeniu Studium Inżynierii Klimatycznej. Danek, który z umiarkowanym sukcesem zakończył rok szkolny już cztery dni temu, zniknął w ogrodzie, by tam oddawać się, jak sam twierdził, zajęciom zbyt wielkiej

wagi, aby rozmawiać o nich z kimś nie wtajemniczonym. Jest rzeczą oczywistą, że do grona wtajemniczonych nie mógł należeć nikt z domowników.

Irek został sam. Przez chwilę przyglądał się robotom zbierającym nakrycia, po czym zerknął na zegarek, wstał i poszedł drewnianymi schodkami na piętro, do swojego uczniowskiego pokoju. Za pięć minut miały się rozpocząć ostatnie w tym roku lekcje.

*

Mijało południe. Szyby w oknach gabinetu, w którym dzisiejszy solenizant siedział już od blisko dwóch godzin, były zabarwione delikatnym brązem, dzięki czemu na środkowym ekranie szkolnego teledatora wyraźnie rysowała się uśmiechnięta twarz pana Marka Seyny, historyka, wychowawcy klasy.

– Jeszcze raz gratuluję wam promocji – mówił właśnie nauczyciel – i do zobaczenia za dwa miesiące. Ziemskie dwa miesiące – zaznaczył z naciskiem. – Niech mi się nikt nie „pomyli” i nie spóźni o jakieś głupie pół wieku, tylko dlatego, że na jego planecie czy satelicie miesiąc trwa dwadzieścia lat...

Z głośnika odpowiedział chóralny śmiech.

Patrząc na swój ekran, Irek nie mógł widzieć twarzy wszystkich koleżanek i kolegów rozsiansych po całym Układzie Słonecznym. To jednak zupełnie mu nie przeszkadzało. Natychmiast poznawał po głosie każdego, kto tylko się odezwał. Klasa była żywa. Przecież co miesiąc wszyscy spotykali się na Ziemi, wspólnie zwiedzali miasta, pomniki starożytnej kultury, uczelnie, biblioteki, muzea. A na zakończenie każdej wycieczki zbierali się gdzieś w górach lub nad wodą, palili ogniska, śpiewali dawne ziemskie piosenki i urządzali tradycyjne zabawy. Tak, klasa była żywa.

W tej chwili z głośnika płynął charakterystyczny sopranik Anny z księżycowego miasta Parnas. Cienki głosik drżał z emocji, bo Anna mówiła o czekającej ją podróży na Merkurego. Chwilę później odezwał się Alan, najlepszy robotyk w klasie, mieszkający w osiedlu orbitalnym Alkazar. On z kolei, także nie bez przejęcia, opowiadał o najnowszym modelu turystycznej łodzi podwodnej, w której miał zamiar penetrować dno ziemskiego Oceanu Spokojnego w okolicach wielkich raf koralowych.

Rozmowa z wychowawcą była pogodna jak prawdziwe, błękitne niebo. Nic dziwnego. Pan Seyna po krótkiej, okolicznościowej przemowie z okazji zakończenia roku szkolnego wypytywał teraz swoich podopiecznych o ich plany wakacyjne. Ale na tym pogodnym niebie od czasu do czasu ukazywały się czarne chmurki.

Na pulpicie Irka zapłonęła zielona lampeczka. „Moja kolej” – pomyślał chłopiec. Odruchowo poprawił się w krześle i powiedział:

– My z ojcem lecimy na Ziemię. Chcemy przejść odcinek głównej grani Andów, a potem wrócić szlakiem wiodącym przez miasta starożytnych Majów i ludów, które żyły tam jeszcze dawniej.

– Proszę, proszę – wyraził swoje uznanie historyk. – Będziesz więc miał wakacje nie tylko piękne, lecz także pouczające. Ale à propos pouczające, może wziąłeś ze sobą garść krystografów z propedeutyki psychologii? Mówiąc między nami, nie byłoby źle, gdybyś w wolnych chwilach powtórzył sobie pewne rozdziały... Sam wiesz najlepiej, które... – wychowawca zawiesił głos.

Oto i chmurka.

Irek miał na końcu języka pytanie, jak też pan Seyna wyobraża sobie „wolne chwile” na szlaku wiodącym przez tropikalną dżunglę do skutych wiecznym lodem wierzchołków Andów, ale po namyśle powiedział tylko:

– Dobrze.

– Świetnie! – ucieszył się wychowawca. – No, to życzę ci wielu miłych wrażeń. Do widzenia.

– Dziękuję. Do widzenia – odrzekł grzecznie chłopiec, zachowując dla siebie głębokie zadowolenie z faktu, że lampka na jego pulpicie zgasła i że już ktoś inny wysłuchuje, jak to powinien sobie urozmaicić, przypuśćmy, polowanie na meteory za orbitą Marsa – wkuwaniem wzorów geometrodynamicznych. Irek mimo woli uśmiechnął się do tej swojej myśli, ale zaraz spoważniał. Zadźwięczało mu w uszach ulubione powiedzonko ojca. „To, co dzisiaj wydaje się trudne do zrobienia, jutro na pewno będzie jeszcze trudniejsze”.

Panującą w pokoju ciszę przerwało głębokie westchnienie zakończone pojedynczym szczękiem przełącznika.

– Słyszałeś? Dostarcz mi te krystografy.

– Komplet? – padło lakoniczne pytanie z bocznego głośniczka.

Komputer zainstalowany w bloku uczniowskich teledatorów nie tylko słyszał, co mówił pan Seyna, lecz także znał i pamiętał wyniki ostatnich testów, toteż nie miał najmniejszych wątpliwości, o które rozdziały podręcznika chodziło wychowawcy.

– Nie – zaprotestował Irek. – Jakieś streszczenie...

– Nie.

Chwilę trwało milczenie.

– Jak to: nie? Dlaczego: nie?! – głos przyszłego zdobywcy Andów tchnął świętym oburzeniem.

– Tego rodzaju streszczeń nie ma w centralnej szkolnej krystotece – wyjaśnił uprzejmie komputer. – Programy nauczania nie przewidują...

– Dobrze, dobrze! – przerwał ze złością chłopiec. – W takim razie nie potrzebuję żadnych krystografów. Po wakacjach ty sam przypomnisz mi te mądrości, które powinienem sobie powtórzyć. I zrobisz to w taki sposób, żebym je zapamiętał. Ty to przecież potrafisz. Tak będzie lepiej, nie?!

– Nie. Nie będzie lepiej. Ale jeśli otrzymam polecenie, to oczywiście przypomnę.

Irek ochłonął. Ostatecznie tylko wariat może się kłócić z własnym komputerem. Z twarzy chłopca ustąpił grymas gniewu, a za to odbiło się na niej uczucie rozżalenia.

– Psychologia! Psychologia!... – powtórzył z jękiem. – Wcale nie muszę uczyć się psychologii, żeby wiedzieć, co robić w czasie wakacji, by być zadowolonym z życia i nie psuć humoru innym. Jestem na przykład pewny, że czytanie szkolnych krystografów może mi tylko zaszkodzić!...

W tym momencie znowu stuknął przełącznik i na ekran wróciła twarz wychowawcy.

– Nie podsłuchiwałem – zastrzegł się od razu historyk. – Ale zapomniałeś wyłączyć mikrofon.

Chłopiec obrzucił przerażonym spojrzeniem swój pulpit z paciorkami lampek sygnalizacyjnych. Rzeczywiście!

– Ja tylko tak... – wybąkał. – Żartowałem...

Pan Seyna już się nie uśmiechał.

– Irku, skończysz szkołę, potem studia i zostaniesz specjalistą. Może nawet specjalistą-naukowcem jak twój ojciec – powiedział. – Ale czy będziesz pracował na Ziemi, czy w kosmosie, czy jako technik, czy też na przykład jako znawca i teoretyk sztuki, najpierw musisz wiedzieć jak najwięcej o ludziach i o sobie samym. Bo czemu służy nauka? Żebyśmy wiedzieli wszystko o gwiazdach? Żeby było więcej osiedli w kosmosie, raket, superholowizorów, energii, robotów i sprzętu sportowego? To tylko środki, zresztą akurat nie najważniejsze, wiodące do celu, którym jest szczęście. Dlatego my, nauczyciele, przykładamy tak wielką wagę do propedeutyki psychologii i dlatego także jest ona przedmiotem wymagającym maksimum własnej, indywidualnej pracy od każdego z was. Po prostu: szczęścia nie można nauczyć się od komputerów. Oczywiście potrafiłyby one

przekazać wam treść wszystkich mądrych książek na ten temat, a nawet sprawić, żebyście tę treść bez trudu zapamiętali. Ale to nigdy nie zastąpiłoby wam własnych przemyśleń i własnych refleksji, które przychodzą w chwilach zadumy lub podczas konfrontacji teoretycznej wiedzy z autentycznymi sprawami ludzi. Opowiem ci pewną zabawną historyjkę. Gdy byłem w twoim wieku, należałem do szkolnej drużyny lekkoatletycznej i z reguły wygrywałem wszystkie biegi na krótkich dystansach. Kiedyś zbliżały się wielkie zawody Ziemia – Reszta Świata. Wtedy uruchomiłem komputer. Wprowadziłem do jego programu wszystkie dane o sobie, o rywalach, o ich wynikach, o stadionie, bieźni, temperaturze, dopingu publiczności i tak dalej. Zażądałem, żeby na podstawie tych informacji, a także znajomości anatomii wskazał mi najlepszy system treningu oraz przepowiedział, kto wygra. Komputer błyskawicznie obliczył, że muszę zostać zwycięzcą, jeśli będę się przygotowywał w taki a taki sposób. Postąpiłem ściśle według jego wskazówek. I co? Ano, wygrał młodszy ode mnie o rok chłopiec z Księżyca. Wróciłem do domu, przytaszczyłem z piwnicy ciężki młotek i zamierzałem „odkuć się” na komputerze za gorycz porażki. Aż nagle zacząłem się zastanawiać. Przecież ja wiedziałem, że zwyciężę. Za to tamten chłopiec, teoretycznie słabszy ode mnie, tego dnia wymagał więcej od siebie. Odnalazł w sobie jakieś rezerwy, jakieś siły, o których istnieniu sam pewnie nie wiedział, a już na pewno nie wiedział o nich ani jego, ani mój komputer. I po zwycięstwie czułem się bardziej szczęśliwy niż ja, gdybym, rzecz jasna, wygrał. Odłożyłem młotek i popłakałem sobie przez parę minut. Rozumiesz? Wątpię, czy rozumiesz. Bo ja sam nie mam pojęcia, w jaki sposób ta historyjka mogłaby się jakoś logicznie łączyć z tym, o czym mówiłem przedtem. Ale nie będę już próbował zgłębiać powodów, które sprawiły, że ci ją opowiedziałem. I tak mam wyrzuty sumienia. Nie należy do dobrych szkolnych obyczajów wygłaszanie sążnistych tyrad w pierwszej godzinie wakacji. Bardzo cię znudziłem?

– Mnie?... Czemu?... Nie...

Pan Seyna roześmiał się serdecznie.

– Wobec tego jeszcze raz: do widzenia. I życzę ci... szczęścia.

Ekran ściemniał. Irek przez chwilę wpatrywał się w martwą matową tarczę. Chyba na pożegnanie powinien jednak być powiedzieć panu Seynie coś całkiem innego. Tylko co?...

– Oto krystografy – przerwał rozterkę chłopca komputer.

Na uczniowski pulpit wysypała się z maleńkiego otworu pod ekranem garść błyszczących kryształków. Irek odruchowo zgarnął je dłonią do płaskiego pudełeczka zawierającego mikroskopijny, składany projektor, który przemieniał szkiełka krystografów w wielosetstronicowe książki.

W tym momencie drzwi prowadzące na taras otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł jak pocisk osobliwy stwór, ni to wielki czarny ptak, ni umorusana sadzą małpa.

– Rodandandron!!! – wrzasnął triumfalnie stwór, skacząc z podłogi na parapet okna. Następnie jednym susem śmignął pod sufit, wywinął w powietrzu kozła i dwa razy przeleciał przez pokój, odbijając się stopami od ścian. Dokonawszy tego, łagodnie i miękko, jakby kpiąc sobie z prawa grawitacji, wylądował przed Irkiem, przybierając postać szczupłego, dziesięcioletniego chłopca ubranego w obcisły, czarny kombinezon. Bluza tego kombinezonu miała pod pachami jakieś płetwy czy skrzydła, trochę podobne do pelerynek, które w bajkach zwykli nosić źli czarnoksiężnicy.

– Wszyscy czekają! – wykrzyknął Czarny. – Co tu jeszcze robisz? Przecież już dawno po lekcjach!

– Podśłuchiwałeś – stwierdził raczej, niż zapytał Irek, patrząc groźnie na młodszego brata.

– Nie musiałem wcale podśłuchiwać! – napuszył się Danek. – My, lotokoty, przemierzamy całe Galaktyki, jesteśmy wszędzie, wszystko widzimy i słyszymy!

Rodandandron! – czarna postać ponownie oderwała się od podłogi, przefrunęła nad pulpitem

datora, wywinęła pełne salto i opadła z powrotem na parapet okna. – Aha! Byłbym zapomniał! – dodał Danek, już z bezpiecznej odległości. – Wszystkiego najlepszego! Życzę ci dużo szczęścia!

Te ostatnie słowa dopełniły miary. Irek nabrał pewności, że kochany braciszek przyczał się za oknem i był świadkiem jego rozmowy z komputerem oraz panem Seyną. A to znaczy, że za chwilę cały dom będzie wiedział o tej nieszczęsnej propedeutyce...

– Niech ja cię tylko dopadnę!!! Uuuu!!! – ryknął złowrogo ruszając do ataku.

Ale Danek ani myślał czekać. W ułamku sekundy był już na tarasie. Przeskoczył balustradę, po czym jak nurkujący szybowiec zniknął wśród drzew rosnących w ogrodzie.

Irek natychmiast przerwał pościg. „Żeby tak parę lat temu...” – pomyślał z żalem. Zrobił w tył zwrot i pomknął w stronę drzwi wiodących do wnętrza domu.

*

Tu trzeba wyjaśnić dwie sprawy. Pierwsza, to owe fenomenalne powietrzne piruety Danka. Otóż tak zwana „kocia akrobatyka” była najpopularniejszym z młodzieżowych sportów. Narodził się ten sport, rzecz dość nie zwykła, w pracowniach uczonych przygotowujących ludzi do pionierskich wypraw kosmicznych. Ktoś kiedyś po poważnych badaniach odkrył, że koty dlatego znoszą bezkarnie pionowe podróże ze stosunkowo dużych wysokości i dlatego lądują zawsze na czterech łapach, bo wykonują w powietrzu nader przemyślnie ewolucje, które znacznie zmniejszają szybkość ich lotu. Ktoś inny doszedł do wniosku, że podobne umiejętności przydałyby się i ludziom, zwłaszcza tym, którzy muszą umieć sterować swoim ciałem w stanie nieważkości i którzy badają obce globy mające nieraz albo bardzo potężne, albo też właśnie znikome pola grawitacyjne. Przyszli kosmonauci zaczęli więc naśladować kocie praktyki, a potem – nie wiadomo jak i kiedy – powstał z tego popularny sport. Wymyślono kombinezony z niby-skrzydłkami, rozgrywano zawody, organizowano popisy. Istniało tylko jedno „ale”. Najlepsze wyniki zawsze osiągalni drobni, szczupli, a więc przede wszystkim bardzo młodzi chłopcy. Toteż Irek zmuszony chwilowo do zaniechania pościgu, który w ogrodzie pełnym wysokich drzew niechybnie zakończyłby się jego sromotną klęską, nie bez racji westchnął w duchu: „Żeby tak parę lat temu...” Kiedyś on także odnosił błyskotliwe sukcesy w kociej akrobatyce. Dziś jednak był zaledwie o pół głowy niższy od ojca. Gdyby chociaż miał na sobie specjalny kombinezon... Ale przecież nie przychodzi się w sportowym kostiumie na uroczyste zakończenie roku szkolnego. A Danek, niezależnie od wszystkiego, był mistrzem nad mistrzami. Już od roku prowadził klasowy zastęp lotokotów. Pewnego razu Irek, powodowany zazdrością, pokazał młodszemu bratu wizerunek prawdziwego lotokota.

– Popatrz – rzekł ze zjadliwym uśmiechem, wyświetlając obraz pochodzący z przyrodniczego krystografu – to ty. Lotokot, czyli kaguan lub kobego, nadrzewny ssak z rzędu skóroskrzydłych, po łacinie *Cynocephalus volans*. Ładny, nie?...

Na ekranie widniało stworzenie łączące w sobie wdzięk nietoperza z urokiem monstrualnej ropuchy tkwiącej w rozprutym worku.

Danek zmarszczył brwi.

– Bo to jest lotokot prehistoryczny – powiedział po namyśle. – Pierwsze ptaki były też paskudne, miały zębate paszcze i takie łyse błony zamiast skrzydeł. Widziałem rysunki na lekcji – podparł się autorytetem nauki. – A dzisiaj mama cmoka z zachwyty, jak zobaczy zwykłego wróbla. Tak samo jest z lotokotami. Te nowe, żyjące w erze kosmicznej, są bardzo piękne...

Druga sprawa wymagająca wyjaśnienia to okrzyk, którym Danek zwykł obwieszczać światu swoją na nim obecność. Otóż w najwcześniejszych latach życia najmłodsza latorośl państwa Skibów była, nie wiadomo czemu, nazywana przez domowników Danusiem. Kiedy

jednak Danuś przeszedł do piątej klasy, doszedł do wniosku, że tak niemęskie imię uchybia jego powadze i wiekowi. Oświadczył, że ma na imię Dan i tylko Dan.

– Dlaczego tak krótko? – zafrasował się obłudnie Irek. – Przecież imię przodownika lotokotów powinno być także jego zawołaniem sportowym... Zaraz...

Zamyślił się spoglądając przez szklaną ścianę na rosnące w ogrodzie pyszne rododendrony, tu, w sztucznym klimacie, niemal przez cały rok obsypane wielkimi kwiatami.

– Mam! – wykrzyknął nagle tonem odkrywcy. – Dandron!

Obecna przy tej scenie mama powędrowała oczami za wzrokiem Irka i pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A może lepiej Rodandandron? – uśmiechnęła się. – To wprawdzie zupełnie nie ma sensu, ale brzmi wspaniale. Całkiem jak stary okrzyk rycerski.

Danek początkowo miał pewne wątpliwości, jednak jeszcze tego samego dnia zaszył się w kąt pobliskiego parku i tam wypróbował nowe zawołanie tak skutecznie, że ściągnął roboty pogotowia ratunkowego z całego Coprates. Roboty wróciły z niczym, w przeciwieństwie do sprawcy alarmu, który osądził, że jeśli tylko nadać Rodandandronowi odpowiednią siłę ekspresji, to hasło istotnie spełnia swoje zadania. I tak już zostało.

Ale dość o dawnych dziejach.

*

– Co oni tam robią? – niecierpliwiła się pani domu, spoglądając na stojący w hallu odświeżone nakryty stół, pośrodku którego królował tort z piętnastoma smukłymi świeczkami. Mimo że drzwi do ogrodu pozostawiono szeroko otwarte, ich błękitne płomyczki stały prosto i nieruchomo. W mieście Coprates nie było dziś wiatru.

– Pewnie Irek miał małą, prywatną konferencję z wychowawcą – odgadł doktor Skiba. – Coś mi mówi, że wypadnie nam dłużej, niż zamierzałem, popasać na biwakach w czasie wędrowki po Andach. I że nie będziemy mogli oddawać się wtedy wyłącznie błogiemu lenistwu – westchnął. – O, jest Danek – zmienił nagle ton.

Przez ogród przemknął czarny cień i do pokoju wpadł wódz marsjańskich lotokotów. Rozejrzał się przezornie i dopiero stwierdziwszy, że starszego brata jeszcze nie ma, odetchnął z ulgą, po czym przybrał obojętny wyraz twarzy. Natomiast wyrazu, jaki odmalował się na twarzy mamy, nie sposób byłoby nazwać obojętnym.

– A gdzie Irek? – spytała. – Chyba dzisiaj nie trzeba będzie was godzić?

– Nic mu nie zrobiłem! – zawołał pośpiesznie chłopiec, ściągając z trudem swój obcisły strój. – Ale on jest zły – dodał szczerze. – Nie wiem czemu. Ja tylko złożyłem mu życzenia...

– Wyobrażam to sobie – mruknęła pod nosem Inia.

Na piętrze trzasnęły drzwi. Irek dopiero teraz opuścił swój uczniowski pokój. Błyskawicznie zbiegi na półpiętro i... stanął jak wryty. Od razu zrozumiał, że będzie musiał odłożyć zemstę na później. Minęło jednak dobrych parę sekund, zanim zdołał się uśmiechnąć. Był to uśmiech dość jeszcze blady, by nie rzec: kwaśny, ale przecież uśmiech.

– No, chodź do nas wreszcie – powiedział ojciec. – Czekamy już tak długo, że jeszcze chwila, a zastałbyś tylko smętne resztki urodzinowego tortu.

Solenizant odruchowo poprawił swoją granatową bluzę uszytą z cieniutkiego jak bibułka pianolitu, wyprostował się i z namaszczeniem zaczął schodzić na dół. Jednak zanim zdążył dotknąć stopą podłogi, wpadł w objęcia mamy, która pierwsza pobiegła mu na spotkanie.

Ostatni składał Irkowi życzenia Danek. Zrobił układną minkę i wręczył mu prezent: wykonany własnoręcznie rysunek przedstawiający dwóch ludzi zdobywających niebosiężną skalną ścianę. Postacie alpinistów były wycięte z cieniutkiej folii i dzięki wprowadzonym w nią

specjalnym płynnym kryształom poruszały się, wspinając wciąż wyżej i wyżej. Artysta, ofiarowawszy swoje dzieło bratu, stanął na palcach i szepnął:

– Naprawdę nie podsłuchiwałem. I naprawdę nie rozumiem, dlaczego się zezłościłeś.

Irek znał Danka dostatecznie dobrze, by wiedzieć, kiedy można mu wierzyć, a kiedy nie. Toteż – po krótkim wahaniu – uprzejmie, a nawet serdecznie podziękował braciszкови za życzenia i piękny upominek, po czym zaniósł rysunek na stolik pod boczną ścianą, gdzie leżały już inne prezenty: aparat do zdjęć trójwymiarowych od mamy oraz gruba, ślicznie wydana książka pod tytułem „Wiersze o Ziemi” od Ini. Tylko doktor Skiba z nieco zbyt obojętnym wyrazem twarzy poprzestał na złożeniu synowi krótkich życzeń.

– No, a teraz do dzieła! – zawołała mama, obejmując Irka i ustawiając go na wprost tortu. – Pamiętaj! Wszystkie świeczki musisz zgasić pierwszym dmuchnięciem!

– Zrób taki wdech, jakbyś miał bardzo długo nurkować – poradził ojciec.

– Najlepiej trochę przykucnij – dodał z przejęciem Danek.

– No, raz... dwa...

– A dmuchnijże wreszcie! zirytowała się Inia. ... trzy...

Irek nadął się jak balon, ale nie zdążył dmuchnąć. W momencie kiedy ułożył wargi w ryjek mający odegrać rolę powietrznego miotacza, od progu zabrzmiał gromki okrzyk:

– Rodandandron!!!

Nastała chwila ciszy.

– Rodandandron! – odpowiedział wreszcie swoim bojowym zawołaniem Danek, po czym zapiszczał:

– Dziadek!!!

– Tato! Tato! – rozległy się głosy Olgi i Jacka Skibów.

Irek wyprostował się bardzo powoli i jeszcze wolniej wypuścił z piersi powietrze, wydając przy tym odgłos przypominający ilustrację dźwiękową do niesamowitego filmu, w którym wycie wiatru zapowiada nadejście ducha. Następnie – ciągle jeszcze czerwony z wysiłku – spojrzał w stronę drzwi. Ciemniała w nich wysoka, chuda sylwetka mężczyzny o kościstej, podłużnej twarzy, w tej chwili rozjaśnionej radosnym uśmiechem.

– Wszystkiego najlepszego, sędziwy młodzieńcze! – zawołał wesoło przybyły. Podeszedł do wnuka i chwycił go w objęcia. – Życzę ci, żebyś został wielkim człowiekiem, godnym spadkobiercą rodu i... – tu głos niespodziewanego gościa spoważniał – żebyś był szczęśliwy.

Irek zerknął podejrzliwie na mówiącego. Jednak dziadek, który mieszkał na Ziemi i najwidoczniej tylko co z niej przyleciał, już z całą pewnością nie mógł nic wiedzieć o ostatniej w tym roku szkolnym rozmowie solenizanta z wychowawcą klasy. Toteż „spadkobierca rodu” rozpromienił się i wykrzyknął:

– Pysznie, że przyjechałeś! A babcia?

– Babcia wybierała się ze mną, ale w ostatniej chwili doszła do wniosku, że jest za stara na takie podróże. Za stara! W przyszłym roku kończy dopiero sto dwadzieścia lat! Ja w jej wieku... Zresztą mniejsza z tym. – Dziadek machnął ręką, po czym nagle ku ogólnemu zaskoczeniu z głośnym plaśnięciem palnął się dłonią w czoło. – A jednak jestem spróchniałym grzybem! – zawołał ze zgrozą. – Skleroza, nic, tylko skleroza! Na śmierć zapomniałem, że przyprowadziłem gości...

– Nie szkodzi – dobiegł od drzwi miły, głęboki głos. – To my przepraszamy, że wtargnęliśmy tutaj nieproszeni, i to w tak uroczystym dniu. Nie chcieliśmy... Ale znacie przecież Wiktora, waszego tatę i dziadka, a mojego kolegę z prehistorycznych, szkolnych czasów. Uparł się jak muł i zagroził, że powybijają szyby w kosmotelu, w którym chcieliśmy zamieszkać, jeśli nie będziemy mu towarzyszyć. Ale teraz go rozumiem – nowy przybysz objął zachwyconym wzrokiem obecne w hallu kobiety. – On musiał pochwalić się przede mną swoją rodziną! Na jego miejscu także pękałbym z dumy.

Trzeba przyznać, że nie był to czczy komplement. Olga Skiba, zgrabna blondynka o długich włosach, dużych piwnych oczach i ustach zawsze skorych do uśmiechu, nie darmo jeszcze w studenckich czasach, kiedy uprawiała lekkoatletykę, była dwukrotnie wybierana miss Astroniady. Inia odziedziczyła po matce barwę włosów, a po ojcu niebieskoszare oczy, pięknie kontrastujące z jej śniadą cerą. Była wysoka niemal jak Irek i poruszała się lekko, z wdziękiem, który kiedyś jeden z jej oczarowanych kolegów określił jako „wiosenny taniec młodej kozicy na tle górskiego potoku”. Danek rzecz jasna nie omieszkiał wówczas ozdobić jadalni wielkim rysunkiem przedstawiającym hipopotama przeglądającego się w mulistej, afrykańskiej kałuży... Ale dajmy spokój tego rodzaju wspomnieniom.

Teraz mama i córka uśmiechnęły się zgodnie, nie zdążyły jednak skwitować galanterii gościa stosownymi w podobnych wypadkach protestami, bo ubiegł je pan domu najwidoczniej dobrze znający mężczyznę, którego przyprowadził ze sobą dziadek Wiktor.

– Profesor Bodrin! – zawołał. – Prosimy, prosimy! – Ucisnął z szacunkiem wyciągniętą dłoń przybyłego. – Doprawdy, tato nie mógł nam sprawić miłszej niespodzianki! A Irek na pewno zapamięta te urodziny do końca życia! Taki gość!

Irek istotnie miał na zawsze zapamiętać swoje piętnaste urodziny, chociaż nie wyłącznie dlatego, że w ich domu pojawił się tego dnia profesor Oleg Bodrin, jeden z najwybitniejszych uczonych, owiany legendą twórca teorii tak zwanej „ujemnej cięciwy czasu”, członek rzeczywisty Głównej Rady Naukowej Krain Układu Słonecznego. Na razie jednak, ponieważ nie mógł przewidzieć, jakie skutki pociągnie za sobą ta skądinąd zaszczytna wizyta, skupił całą uwagę na osobie słynnego szkolnego kolegi dziadka.

Profesor Bodrin był średniego wzrostu, miał bujne, srebrnobiałe włosy, wysokie czoło, mały, nieco zadarty nos i nosił staroświeckie okulary w cieniutkich złotych oprawkach. Jego opaloną jak u sportowca twarz pokrywała gęsta sieć drobnych zmarszczek pogłębiających się, kiedy się uśmiechał. A od czasu przestąpienia progu marsjańskiego domku państwa Skibów wielki uczony uśmiechał się niemal bez przerwy. Złożywszy życzenia solenizantowi przywitał się z Olgą, Inią i Dankiem.

Dopiero w tym momencie Irek spostrzegł, że profesor nie przybył sam. Przy drzwiach – w postawie wyrażającej pełną szacunku powściągliwość tkwił drugi mężczyzna, znacznie młodszy, wyglądający na rówieśnika Ini, tyle że sprawiający wrażenie zawieszonoego w powietrzu na niewidocznej linie i rozciągniętego pod wpływem własnego ciężaru do niesłychanej długości.

– To jest Bob Long, mój asystent – wskazał wisielca Bodrin. – Złośliwi mówią, że nikt, nie wyłączając mnie samego, nie rozumie mojej teorii. Nie ręczyłbym za siebie – zaśmiał się – ale Bob rozumie ją na pewno. Usiłuje nawet wykorzystać to, co wymyśliłem, i sporządzić aparat do łączności poza czasem. Czuję, że niedługo albo ogłosi światu, że jestem bałwan i że moja teoria nie zda się psu na budę, albo też naprawdę wykombinuje coś, co pozwoli nam pogawędzić sobie na przykład z Napoleonem Bonaparte jeszcze przed bitwą pod Waterloo i poradzić mu, żeby siedział spokojnie na Elbie, gdzie ponoć było mu zupełnie nieźle. Czy też pogwarzyć z mieszkańcami najdalszych gwiazd, których światło dociera do nas dopiero teraz... Jeśli, naturalnie, był tam swego czasu ktoś, z kim warto by pogadać.

Pani domu zwróciła się w stronę przedstawionego w tak interesującym świetle długaja, chcąc go jak najserdeczniej powitać, ale jej wyciągnięta ręka znieruchomiała w powietrzu. Osobnik, nazwany Bobem, nie raczył jej bowiem zauważyć. Nie słyszał, co mówi profesor, i nie widział ani solenizanta, ani tortu ze świeczkami wypalonymi już do połowy, ani nikogo z obecnych poza... Inią. Z nastroszonymi, rudawymi włosami, oklapniętą dolną szczęką i szeroko otwartymi oczami, w których malował się wyraz ostatecznego zachwyty graniczącego z osłupieniem, wyglądał – wypisz, wymaluj – jak strach na wróble przeniesiony na Marsa z ziemskiego parku etnograficznego.

– Uhm, uhm, uhm... – wkroczył zdecydowanie dziadek Wiktor.

Interwencja okazała się skuteczna. Młody naukowiec, po którym jego znakomity mistrz tak wiele sobie obiecywał, wykonał kilka gwałtownych, nie skoordynowanych ruchów, a następnie zawołał:

– Ależ naturalnie! Ja także życzę ci wszystkiego najlepszego! – i rzucił się z wyciągniętymi ramionami w stronę Danka.

– To nie ja! – zdołał pisać przerażony lotokot kryjąc się przezornie za plecami dziadka.

Ten ostatni usiłując, zresztą bez większego powodzenia, zachować poważny wyraz twarzy chwycił młodszego ze sprowadzonych przez siebie gości za ramię i skierował go we właściwą stronę.

– Tu! – wyjaśnił krótko, a następnie nie bez satysfakcji przyglądał się, jak Irek ściska z samozaparciem ogromną, kościstą dłoń asystenta.

Solenizant zniósł wprawdzie mężnie dowody serdeczności złożone mu przez Boba Longa, ale równocześnie postanowił, że najwyższy czas zakończyć ceremonie powitalne. Toteż nagle spoważniał, wyprostował się i oznajmił:

– No, to teraz dmuchnę...

Nie bacząc na zdumienie, jakie odbiło się po tych słowach na twarzach gości, podszedł szybko do stołu i już bez żadnych przygotowań zdmuchnął za jednym zamachem wszystkie piętnaście świeczek.

– Brawo!!! – zabrzmiał zgodny chór świadków tego doniosłego aktu.

*

Podczas obiadu profesor Bodrin wyjaśnił gospodarzom powód swojej wizyty na Marsie.

– Jutro lecimy z Bobem na Ganimeda – powiedział. – Mamy tam do załatwienia pewną ważną sprawę. Przyślą tu po nas specjalny statek należący do Bazy Dalekiej Łączności. To właściwie jedyna duża placówka badawcza na Ganimedzie. Na pewien czas obejmę jej kierownictwo. A z Ziemi wystartowaliśmy już dzisiaj, bo chciałem sobie zrobić jednodniową przerwę. Mam jeszcze pewien problem do przemyślenia... – westchnął, po czym mówił dalej już pogodniejszym tonem: – No i traf chciał, że pierwszą osobą, jaką zobaczyłem w marsobusie, był Wiktor. Nie widzieliśmy się od lat... nie, nie powiem ilu, bo jestem próżny i przy tak uroczych dziewczynach nie przeszłoby mi to przez gardło. Przegadaliśmy całą drogę jak dwie kumoszki, a potem Wiktor ani rusz nie chciał nam pozwolić zostać w kosmotelu.

– Uważałem, że mojemu wnukowi coś się w końcu ode mnie należy – wtrącił wymieniony. Sam... cóż, jestem tylko skromnym gajowym dbającym o drzewka w rezerwach i nie stanowią żadnej atrakcji dla mojej rodziny – ciągnął z udaną żalostí. – No więc chciałem uświetnić urodziny Irka, przyprowadzając ze sobą sławną znakomitość.

– Ty oszuście! – zaśmiał się Bodrin. – Tyle masz wspólnego ze skromnym gajowym, co nie przymierzając dawny woźnica z pilotem nowoczesnej rakiety! Autor, podręczników z dziedziny ochrony przyrody, z których uczą się wszyscy ziemscy studenci! „Gajowy”! Też coś!

Dziadek Irka, Wiktor Skiba, był istotnie znanym specjalistą-ekologiem, jednym z kilku uczonych sprawujących nadzór nad ziemskimi rezerwatami i parkami krajobrazowymi.

– Więc lecicie na Ganimeda... – wyszeptała Inia tak cicho, że nikt prócz Boba Longa, który nie przestał jej darzyć aż nazbyt widocznym zainteresowaniem, tego nie usłyszał.

Asystent natychmiast uniósł czujnie brwi i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył. Na piętrze trzasnęły głucho drzwi, po czym rozległ się odgłos drobnych i nienaturalnie rytmicznych kroków.

– Czy tam ktoś jest? – spytał Danek.

Wszyscy spojrzeli w stronę schodków ozdobionych balustradą o szerokiej poręczy wyszlizganej niemal do białości przez młodszych mieszkańców domu.

– Tam?... Eeee, a któż by mógł być... – rzucił niedbale doktor Skiba. Wydaje wam się...

– Ale przecież wyraźnie sły... – mama urwała w pół słowa.

Na schodach pojawiło się coś w rodzaju lejka, a raczej smukłego, rozszerzającego się ku górze stożka zwieńczonego okrągłą główką z dwiema zielonymi lampkami. Cudaczny stwór kroczył na trzech przedziwnych nóżkach – cieniutkich, teleskopowych wysięgnikach zakończonych mnóstwem krótkich, przegubowych palców. Górna połowa stożka była owinięta nowiutką wspinaczkową liną, z której zwisały stalowe haki, lśniące karabinki, czekan, młotek i inne przedmioty niezbędne każdemu prawdziwemu alpinistcie.

– Tato! – Irek zerwał się z miejsca, podbiegł do ojca, objął go za szyję i ucałował w oba policzki. – Tato!

– Co niby: „tato”, „tato”? – bronił się obłudnie doktor Skiba. – Właśnie sprawilem sobie nowy sprzęt...

Ale chłopiec biegł już w stronę schodków. Stożek, zachowując niezmiennie pozycję pionową, co nadawało mu wyraz komicznej powagi, zatrzymał się właśnie na ostatnim stopniu.

Irek stanął przed nim, założył ręce na plecach i spytał:

– Jak się nazywasz?

Zielone lampeczki zabłyśły odrobinę żywiej.

– Jestem automatem wysokogórskim XXB-czterysta siedem. Dzień dobry – zabrzmiał czysty, metaliczny głos.

– Dzień dobry – solenizant skłonił się grzecznie. – A czy poza tym nie masz jakiegoś imienia?

– Nie. Miło mi, że będziemy chodzić razem.

– A co ty umiesz?

– Latać. Umieję także wspinać. Posiadam uchwyty, które zapewniają mi pewne oparcie nawet na gładkiej skale.

Chłopiec mimo woli spojrział z niedowierzaniem na maleńkie paluszki automatu.

Nie zrażony tym spojrzeniem XXB-czterysta siedem ciągnął:

– W razie potrzeby mogę służyć rezerwowymi zasobnikami tlenu, płynu odżywczego i leków. Jestem zaprogramowany tak, żeby w każdej sytuacji zapewnić człowiekowi – to słowo zostało wymówione ze szczególnym naciskiem – niezawodną asekurację. Potrafię ewakuować człowieka z zagrożonego miejsca.

Irek poczuł, że jego entuzjazm słabnie. Obejrzał się na ojca i spytał z przekąsem:

– Ty przecież chodzisz bez niańki?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI